

Tomasz Pułka

Kombajn

Jak się jej bliżej przyjrzeć, to się może wydawać, że Anka zwykła dziewczyna, że plecak nosi jak inni, w jej wieku, to jest w liceum już, na początku samym, zaraz po gimnazjum, jakby dopiero co z wody wyszli i jak te psy się otrzępywali, mocząc wszystko dookoła. No i Anka - rzeczywiście, spokojna jest, a i ładna całkiem, na lekcjach się rzadko udziela, ale to tylko nieśmiałość wrodzona. Wrodzona? No ojciec zawsze był milczek, jak sobie Anka wspomni, to zawsze jak matka awantury robiła to ojciec cicho siedział, i w sumie to się Ance to podobało, że nie jest jak u innych w domach, że ojciec matkę opierdoli i ta cicho siedzi. Co prawda, to prawda: matka Anki jak się już zaczynała wkurwiać, to na całego, a histerii przy tym!, a krzyku - o jesus. No i klnie matka strasznie nieprzyjemnie, czego sobie Anka zabroniła, no ale - wiadomo - się wyrwie od czasu do czasu. Trudno.

Anka ma siostrę, Irenę, to jest całe jej rodzeństwo, ta Irena, starsza, mądra zawsze, na rolniczym teraz, technologię rozrodu czy coś tam studiuje i się z niej Anka podśmiewa czasem, ale to tylko jak chłopak Ireny zacznie, bo on to zawsze taki śmieszny. W domu Anki spokój, mieszkanie małe, matka z ojcem na tandecie mają budę z hamburgerami, więc nic nadzwyczajnego, ale się Anka wstydzić przecież nie będzie. Poza tym matka świetnie angielski zna, inteligentna jest, no klasa, jak się do innych matek porówna. Tylko, no musiała Irenę urodzić, a i później nie było czasu, żeby coś lepszego znaleźć. Na pocztę chwilę pracowała, ale to tylko chwilę. No nic.

"A idź już w ogóle, bo cię słuchać nie mogę" - tak teraz matka do ojca, ale nie żeby to to. Anka tych całych patologicznych historii nie znosi i w ogóle to myśli, że to jest poprzęsadzane na wyrost i niepotrzebne w chuj. Tak myślę właśnie i nie wiem też dlaczego starałam się pisać w trzeciej osobie, zamiast sobie spokojnie, tak jak jestem. I dlaczego teraz też napisałam "starałam się", jak się to teraz, w tym momencie staram. No trudno. Jestem w takim momencie, że mi ciężko jest strasznie, bo w szkole do dupy i w domu też nie za bardzo. Wczoraj mnie tak wkurwiły te dwie pizdy, że aż chciałem powiedzieć Ance, żeby na następny raz spróbowała je opluć, może to poskutkuje, a jak nie, to niech przynajmniej wreszcie to zgłosi wychowawczyni albo coś w tym stylu.

Co można zaproponować tak na teraz, żeby w miarę ciekawe i z betonu było? Jak przenieść ten socreal cały w to teraz, kolorowe i szklane, nie narzekając przy okazji? Tego Anka nie wie, jak i nie wie skąd i po co jest teraz używana, i w jakim kierunku, i że nie powinna się godzić na to "używana", bo to jest uprzedmiotowienie i nic innego to to nie jest. Zwyczajnie.

Przychodzi na myśl taka historia, w której by się opowiadało o na przykład takiej inteligentnej dziewczynie, która zaraz po gimnazjum postanawia nie iść do jakiegoś liceum jebanego, tylko do zawodówki i później zapierdalać po prostu, pracować dużo, bo to teraz wszyscy po tych liceach, wszyscy, kurwa, na studia i nic więcej, po prostu: papiery mieć, wsadzić je sobie w dupę głęboko, żeby się przyjemnie zrobiło, z pięścią razem, tak, żeby to gardłem wyszło i wypadło na biurko jakiejś pizdy z sekretariatu, co do pracy przyjmuje. Ale to nie ma większego sensu. W ogóle nic nie ma większego sensu, nawet ten sens sam jest jak bułka przekrojona na pół, a w niej nic, nic nie ma. A jak się lodówkę otworzy to w chuj wszystkiego oczywiście, ale całe to odwijanie z folijki, to rozpięczętowywanie, wykładanie, układanie, sranie, tak odstęcza, że się bułki nawet samej nie je, tylko fajkę skręca i idzie na kanapę. A ta kanapa to jest już masłem posmarowana i my na niej za tę szynkę robimy, też w folijce, tylko, że nikt tego jeść nie będzie, to i może być kanapka z szynką owiniętą w folię i jeszcze z naklejką z ceną, tak to głupio wygląda, no ale jest nieużyteczne, więc nie ma sensu płakać.

Marzą się kombajny, czerwone i wielkie, i te uśmiechy jak te kombajny, też czerwone i wielkie, takie, że aż na pół nieba, że chałpę zasłaniają, ale w słońce nie wchodzi i jest taka czerwień metaliczna, błyszcząca, świeża i wieczna, jak miód, jak miód na przykład. Ance się śnią takie kombajny, jeżdżą po jej głowie, koszą i pakują całe to gówno złote jak zboże, które w jej głowie się sadi gdy wstaje i rośnie przez dzień cały, codziennie, odkąd pamięta, że jest. I w nocy te maszyny ścinają i cienkim, metalowym drutem oplatają, żeby później zostawić, esencję zrobić, do zalania tylko, na kilka herbat i bez tych torebeczek pierdolonych, co później gniją po popielniczkach tylko po to, żeby można było łatwiej pety gasić.

Jakem zostawił, tak siedzi w kotłowni i do pieca przykłada, nie bacząc na czas i na brud dookoła, że już całe ubranie upierdolone tą sadzą, że popiół trzeba wygarniać dokładnie i wynosić do kontenerów. Tak by przerobić te kosze metalowe, zielone, i odmalować ładnie, żeby farbą pachniało na wieś całą, tak mocno, co by się wszyscy potruili wokół i napruci tymi wyziewami chodzili do pola, sadzić i zbierać, sadzić i zbierać. Jak się jajko na patelnię ze skorupki wypuści i podkręci gaz, to żeby tak jak to sadzone, wybrać od spodu łopatą, a w pierw łopatę z ziemi wyjąć i oplukać, żeby czysta, a później prosto na talerz i niech żre, niech rośnie ziemisty, brudny już od wewnątrz, od środka, tak, że później ten syf z pieca się syjący już szkody nie robi, a tylko tarczę, zbroję, kurwa, pancerz ciała okalający, że już nie można ani dzidy ani noża wbić i nieśmiertelny niech po wsi chodzi i o kombajnach mówi wszystkim. To się śni.

Ancyne oczy pełne takiego drzewa, najpierw w lesie ściętego, później w dom dowleczzonego,

rażanego z ojcem i do drewnutni noszonego, co całe jest w czasie przyszłym i nie ma ani rośnięcia, ani szumu drzew innych, lasu, nie ma ptasiego śpiewu, co by do spania zachęcał jak i do wstawania naraz, że jest i śpiące i obudzone jednocześnie, w tym teraz, co to dopiero będzie, bo tak się o nim mówiło. I samo to, że się mówiło, już się w oczach Anki nie mieści, choć ktoś to przecież tam w sobie pewnie i ma, to Ankę nie obchodzi.

Jakby folder z bazą tekstur w worek włożyć i zawiązać, na środku pola położyć, to i tak jak te snopki świeci, w nocy coś wskazuje, a już na pewno jak latarnia - chroni. Byleby nie mieć odwagi na sprawdzenie czy się udaje, czy coś z tego rośnie, a tylko się w domu zamknąć, w tej chałpie z mosiądzu i kaptur na łeb, i można do klasztoru, z modlitwami razem śpiewać. Miasto ze wsi zrobić, przebudować wszystko, pięć złotych w wieś włożyć i tylko naciskać klawisz na pojedynczej stawce, a klawisz się świeci, ciągle jak we śnie się gasi. Bo to jest tak chyba, że one do światła, bo w nich jest biegnięcie, takie jak to szkolne, z zajęć na czas i ocenę, tylko, że już to piąty raz ta sama klasa i już się starać nie trzeba, już nikt nie potrzebuje.

Anka wspomina, jak się do gimnazjum dostała i już na wstępie mówili, że kocowa będzie, że pisakiem na czole, ale nic z tego nie wyszło. To stąd ta pewność i zrozumienie, jakkolwiek by pomylić. A później do niej dzwonią, żeby na rozmowę kwalifikacyjną, że do hotelu i serdecznie zapraszamy, a proszę, proszę sobie numer telefonu pana odpowiedzialnego zapisać. I Anka pisze, a później oczy maluje delikatnie, dyskretnie i idzie popalić papierosy za rampę na której sobie skejci popierdalają, bo się Baśce podoba taki jeden, Marek, to chodzą razem i się Anka nudzi jak słucha tego piszczenia Baśki i patrzy na tego debila co to tam skacze na tym kawałku deski. Jakby im tak te kółka powykręcać to ciekawe czy by w ogóle zauważyli, ciptoki głupie. No ale Anka z Baśką chodzi, bo Baśka z kasiastego domu, to i marlboro kupi, to się zapali marlboro a nie jakieś byle gówno. Niedługo jeszcze czekać, aż tu dwutysięczny drugi rok skoczy i będzie pięknie: dwie dwójeczki, a pomiędzy nimi dwie dziury, to się śmieją z Baśką, że te dziury to one będą, bo i czasem dziewczynom zdarza się wulgarnie, ale w sumie to rzadko, i chuj.

Anka pali szluga delikatnie, nie zaciaga się głęboko, w ogóle to to jej przestaje smakować już gdzieś tak w połowie, to więcej go trzyma, a mniej pali, Baśka to jednak jest palaczka, pizda mała, chmurzy aż miło. I do Marcuszka strzela rżesami i dymem, na przemian, albo naraz, kto to wie. "Ania, Ania, zobacz tam jest ten Wojtek!" drze się Baśka chyba tylko po to, żeby wstydu narobić, to Anka mówi, że musi lecieć już i pożycza tylko peta jednego, na drogę i idzie, idzie sobie spacerem, bo w miasteczku nie ma stale kursujących tramwajów, ani autobusów, tylko PKS, w ogóle to dziwne miasteczko jest, najwięcej sklepów podobno, znaczy: na mieszkańca, a nie ma komunikacji miejskiej, ale w sumie to racja, bo małe jest miasteczko, ryneček ładny, przespacerować się aż miło, bo to jest już końcóweczka lata i taki smutny czas jaki dopada wszystkie dni sierpniowe, że kiedy już po szóstej, to delikatna szarość, jakby ołówkiem ktoś po monecie nakrytej kartką wodził, i jeszcze się słońce nie chowa, ale już odstawia na brzeg popielniczki. I Anka sobie idzie z jednej ulicy w drugą, jak ameba się w sobie przelewa, a razem z nią się wszystka ta kobiecość przelewa, co to dopiero jest zapowiedzią, ale już na biurku tego gościa, co to z megafonem sekunduje, i tylko czekać aż usłyszy w ciebie, i trzeba będzie się jakoś w sobie przestawić, jak po zmianie czasu, chyba, czy jakoś tak się to Ance wyobraża.

Tymczasem sobie Anka zeszkrobuję gwiazdkę z nogawki, już drugi tydzień jej na tym schodzi, jak sobie przypomni, to te gwiazdki małe, pierdolone, świecące, odrabia paznokciem i chowa do kieszeni na tyłku. I myśli teraz Anka, chowając kolejną gwiazdkę, czy to już jest ten czas, że starzy faceci się gapią na jej dupę jak tak idzie, w niebieskich dżinsach i czarnej bluzce na ramiączkach, i jest jej ciepło w głowie, lecz zimno w ramiona, i wyobraża sobie Anka, że jest jakimś przejebanym, i na siłę tego słowa używa, tego przejebanym, pakerem, co to się po dzielni buja i z ziomkami ziółko kręci. Bo Anka nie lubi przeklinać, bo matka jak w szal wpadnie to klnie i brzydko jej z tym strasznie, a Anka nie lubi jak brzydko, chociaż czasem ma straszną ochotę się uświnić dokumentnie, więc sobie jakoś tam po cichu te przekleństwa oswaja i odkłada na czarną godzinę. Z tą czarną godziną to jest przejebana sprawa, bo Lusia, co to jest chyba najlepszą koleżanką Anki, ale nie lubi Baśki jak sto pięćdziesiąt, to Lusia mówiła, że jak była mała, to sobie wyobrażała, że w każdym domu jest taka czarna godzina schowana gdzieś w szufladzie czy szafce i się do niej pieniądze wkłada, żeby ciągle była, rozumiesz, tak się ją karmi, że jakby kiedyś czasu brakowało, koniec świata miał być, to żeby se można jeszcze z godzinkę pożyczyć, co prawda czarną, ale zawsze to przecież.

Jak sobie ja zdam sprawę jak kaleczę tak pisząc, to mi się odechciewa, ale jak sobie pomyślę, że takie bym chciała właśnie czytać, to się powstrzymać nie mogę. I tak jest chyba ze wszystkim u Anki co się z jej sercem, mówiąc górnolotnie, wiąże, to znaczy - jak sobie pomyśli jaka jest w sercu, to się jej odechciewa cokolwiek kiedyś kochać, ale jak sobie pomyśli, że tak właśnie by chciała być kochana, to się powstrzymać przed tym myśleniem, czuciem, nie może. I zawsze się Anka boi, że jak są dźwigi takie wielkie, rozumiesz, stawiane na stelażach czy jak to się nazywa, to z jednej strony jest ta końcówka z tą liną i tym hakiem całym, a z drugiej strony to się równoważy takimi płytami betonowymi na sztorc postawionymi. I Anka się boi, że to spadnie w chuj i kogoś rozjeebie, ale z drugiej strony marzy o tym, jak tylko jakąś zapowiedź dźwigu w życiu zobaczy. Tak było na przykład, jak za oknem w szkole, jeszcze w podstawówce, na wiosce, zobaczyła lisa, który zagryzał bażanta, a to się na boisku szkolnym działo, co prawda nikt nie grał w piłkę, żadna banda tępych chłopaków nie gonila za kulą ze szmaty, ale jak sobie tylko Anka pomyśli, że tak mogło być, że oni tam wszyscy, idioci, grają i nie widzą jak ten lis zagryza bażanta, to się jej od razu ciepło robi, jakby ją coś nagle przestraszyło, ale to przyjemne, chociaż tak przecież nie było i pewnie nie będzie. Wtedy się dźwigi

zamieniają w kombajny, transformują powoli, jakby ewoluowały z narzędzia do ręki, co narzędzie trzyma, jakby taki stacjonarny dźwиг marzył od zawsze, żeby dorosnąć kombajnem, jak z socjalizmu w komunizm, tak się to w głowie Anki przekształca, kiedy leży obok Pawła i czuje jak on trochę śmierdzi i jej się chce trochę rzygać, ale przecież tego nie robi, bo to pewnie tak trzeba leżeć, co jest idiotycznym usprawiedliwieniem własnej bierności, ale skąd ta bierność, to by sobie trzeba było najpierw wyjaśnić, byleby nie tak wylewnie jak to sobie Anka wyjaśnia już od skończenia liceum. I co ja piszę, że Anka sobie wyjaśnia, jak to ja teraz siedzę na dupie i nie wyjaśniam, ale spisuję.

Przypomina sobie Anka płytę, którą kupiła sobie za pieniądze, za pięćdziesiąt złotych, które dostała od swojego świadka z bierzmowania, czyli Lusi właśnie, sobie kupiła Anka płytę, słowa polskie, stare, nowe aranżacje. I jak to u Anki bywa, dopiero po roku doceniła, dopiero po roku zaczęła słuchać naprawdę. I od razu sobie Anka przypomina, jak to harcerką była przez dwa dni, przez jeden biwak, i mnie się nie chce o tym mówić, bo na co to komu?

Podział ról jest wyraźny i zdradliwie prosty: są ci, co mówią i ci, co słuchają. Ci, którzy mówią, nie mogą słuchać się nawzajem, ci co słuchają, nie mogą mówić, bo kiedy zaczną, nie rozumieją żadnej ze stron. Nie ma komunikacji pomiędzy klasami. Dialektyka w tym układzie praktycznie nie istnieje. I jest jeszcze Anka, przez którą to przepływa, Anka - Johan, który przeczesuje hotel, tak naprawdę zamknięty dla każdej możliwości; jedynie słuchający mogą zwiedzać (!) go przepisawszy wpierw wszystko.

Anka pamięta, jak spotykały się nad rzeką, było tanie wino i ognisko śmierdzące kiełbasą, Anka nie chciała jeść, ale jadła, bo przecież jeść trzeba, tak jak i trzeba słuchać, a właściwie "się słucha", nie chcąc, a jednak to się w uszy wlewa i nie ma ucieczki, nie ma jak zrezygnować. I Anka widzi siebie w łóżku, pomiędzy kuzynostwem (kuzynka jest tak naprawdę kuzynką matki Anki, nie samej "jej"), i jak chce wracać do domu, kiedy świta, a dom jeszcze niedobudowany do końca, dopiero fundament, chociaż już drugie piętro. Nie jest zimno, bo lato, ale zimno w środku, chociaż ciepło po kołdrą, zwłaszcza, że wciąż pierdzą śmiejąc się z siebie.

Anka widzi uciekanie z lekcji, tych spisanych na stratę, bo na świetlicy, i później gumę do żucia, żeby nic nie poczuł, i jak Olek oddycha na boku, przy tablicy, przepytany, byleby nie zionąć prosto w nauczyciela.

Kradnie Anka pierwszy raz już w dzieciństwie, bierze ze sklepu jakiegoś czekoladowego misia, teraz zamiast tego sklepu jest maleńki bank, ale Anka dobrze pamięta jakie wyrzuty sumienia miała. Później jeszcze z Lusią, w sklepie, batony, batoniki. I z Lusią papierosy na sztuki, a kiedyś to i rothmansy, przy domu kultury. I słońce, i rzeka, i całość tam wciśnięta jak palec w pierścione. Można wsiąść do łódki i popłynąć w górę ujścia, wyjścia, początku. A na początku jeszcze Anki nie ma, a jest Stary Analog, maszyna, owocóweczka, zero elektronicznych dodatków, Jednoręki Bandyta w pierwszym filmie Scorsese, jakkolwiek by on nie był. Mnóstwo kipielników, stłoczonych wokół i wobec. Zbiorowa hipnoza. Stowarzyszenie Osób Toczących Krzyżmo Śliwek, Arbuzów albo Wisienek. W oczekiwaniu na Bar. Nie chciało przyjść piwo do Mahometa, to przyszedł Pahomet do miwa. Krzewiliśmy (my, maszyny) wtedy kulturę osobistą i tening autogenny.

Później już pierwsze Admirale, Sizzlingi i Ultra Hoty, ubaw po pachy normalnie.

Poezja mnie zbawi

Pisałem o Stowarzyszeniu Śliwek,
Arbuzów albo Wisienek, o lansowaniu
wzorca, matrycy do odlania
spiżowej projekcji. Hologramu

tekstur wygiętych jak jaźń
rzucona na pożarcie lwom,
tym samym, które rozszarpywały
chrześcijan. Niska głębia
wnętrza, tylko

p r z e p i s u j ę

odpowiednie ustępy Płonącej Księgi.
Księga płonie siatką zbierającą ryby.
Księga toczy krzyżmo pieniędzy.
Okrągła moneta w trzewiach automatu.
Rząd owoców nawiniętych na koło.
Zero elektroniki. Stary Analog.
Jednoręki Bandyta. Ja to tylko

p r z e p i s u j ę

odpowiednie ustępy Encyklopedii, litera "m".
Młodość i mięso. Miłość i mak. Główka
makowa. Wewnątrz galaktyka. Roślina
prowadzi przez technologię do krwi.
Metafizyka przerasta siebie samą.
Kopie zapasowe metafizyki w mózgu.
W archive.org metalowej klatki.

Metal, czy drewno? Natura ma wiele postaci.

Wakacje pełne intryg. Poezja mnie zbawi.

Poezja mnie naprawi jak zamek z wyraźną
ingerencją wytrychu. To znaczy: wymieni.
Upycham ubrania w ciemnozielonej szafie.
Tłoki w głowie pracują na najwyższych obrotach.
Dookoła dookoła dookoła. Uprząż trzymana
w zębach rumaka. Lornetka na balkonie
przykuta do pnia wyrastającego z betonu.
Chwileczkę! Pień już nie rośnie. Jak meduza,
pień przywiera do ziemi i zasysa energię.

Dokument wysłany przez radio; tubę
wypełnioną powietrzem i falą. Kocioł
energii wewnątrz ziemi. Kłopoty z pragmatyzmem.
Aksjomat tętna. Upycham majtki w ciemnozielonej
mapie. Tuż obok zbrodni. Jestem nagi
i świecę. Wewnątrz kotła energii.
Chłodzi mnie azot i napar. Inhalacja
ziemią. Okrągła moneta w trzewiach automatu wrzucona nieopatrnie

przez zgrabiałe palce. Stawka. Nie podwajaj.
Kurwa. Zaješana szmata. No do kurwy nędzy.
Teraz ty zagraj. Nie ma chuja. Dawaj.

Seremet wykipiał piątala.

Pazerność. To są losy dzielnicy.
Płucz pług w cielistej ziemi.

Ratuj się kto może! Szał okopuje się w dokumentach.
Kolejki na szczyt nosa wędrują powoli. Tym samym
szlakiem od kilkunastu lat.

Przepierzenie tłumi odgłosy jakie wydają zagryzające się psy.

Kto zgadnie jak ma na imię właściciel? Pani? Proszę bardzo.

Nie ma kar boskich, któreby nie pochodziły z ziemi.

Niczyje dziedzictwo zmusza człowieka do osiedlania się w ziemi.

Po śmierci jesteśmy wyborem współczesnych.

Wampir – stadium parowozu.

Wideo wyczerpało swojego ducha poprzez zużycie.

Tłumię tłoki.

Losują moje liczby.

Nie dzwonią.

Długo czekam.

Wkładam to do środka.

Opukuję korę.

Opukuję korę.